

Wiemy dlaczego kibole Legii pobili swoich piłkarzy!

6 października 2017

W nocy z niedzieli na poniedziałek grupka ludzi (nazywających się kibicami Legii Warszawa) naruszyła nietykalność cielesną prawie wszystkim piłkarzy swojej drużyny. Dla normalnego śmiertelnika rzecz nie do pojęcia. Dla baczniej obserwującego polską piłkę, a zwłaszcza legijną rzeczywistość – bulwersująca acz na pewno nie zaskakująca. To tego w końcu musiało dojść. I doszło.

Najkrótsza odpowiedź na postawione w tytule pytanie brzmiałaby: bo mogą. Istotniejsze jest jednak wyjaśnienie owego „niepisanego uprawnienia”, które pewnej części fanów warszawskiej ekipy miałyby przysługiwać.

By zrozumieć dlaczego niektórym osobom wydaje się, iż mają prawo do takich zachowań jak tzw. „wychowawcze rozmowy” z zawodnikami z Łazienkowskiej (co zdarza się w wielu polskich klubach od lat) czy w tym przypadku nawet fizyczne karcenie, trzeba sięgnąć parę lat wstecz.

W 2011 roku obrońca Legii Jakub Rzeźniczak został spoliczkowany przez jednego z „kibiców” po porażce jego drużyny z Ruchem Chorzów 2:3. Piłkarz wyparł się jednak tego, sprawę zamieciono pod dywan. Mimo, że nie chodziło o jakiegoś anonimowego zawodnika z zagranicy, tylko o wieloletniego kapitana drużyny z Łazienkowskiej.

Mamy rok 2017 i sytuacja się powtarza. Z tym, że tym razem przyjmuje większą skalę. Oto bowiem obrywa nie jeden piłkarz, a prawie wszyscy i nie od jednego „kibica” tylko od kilkudziesięciu. A całość trwa osiem minut. Źle rozwiązany „casus Rzeźniczaka” wraca jak bumerang.

Po 2011 roku nastały w Legii czasy panowania Bogusława

Leśnodorskiego, który pozwalał fanatycznej grupie „kibiców” na wiele. Setki rac, tysiące spalonych w nich euro w formie kar od UEFA, zamykany stadion na mecz dekady z Real Madryt w ramach rozgrywek Ligi Mistrzów. Przyzwolenie na bandyterkę, chamstwo i agresję było od samej góry.

Dziś teoretycznie jest już inaczej – prezesem Legii został jakiś czas temu Dariusz Mioduski. Otwarcie zapowiadający, że będzie postępował twardo z fanatykami i nie da się zastraszyć. Słowa, które w obliczu ostatnich wydarzeń – nic nie znaczą.

Legia, po tym jak pobito jej piłkarzy, wystosowała spóźnione bezpłciowe oświadczenie: „Legia Warszawa informuje, że dokładnie analizuje zajścia, które miały miejsce w nocy z 1 na 2 października, po powrocie drużyny z przegranego meczu w Poznaniu. Pierwsze ustalenia wskazują, że grupa osób weszła na teren stadionu zgodnie z przyjętą praktyką po meczach wyjazdowych, co nie dawało ochronie obiektu podstaw do niepokoju. Niestety po wjeździe autokaru na parking doszło do ostrej wymiany zdań i szarpaniny z udziałem zawodników oraz członków sztabu, które łącznie trwały ok. 8 minut. Klub ma świadomość silnych emocji związanych z niepowodzeniem sportowym drużyny, ale jednoznacznie potępia wyrażanie ich w sposób odbiegający od przyjętych norm. Podstawową zasadą w Legii powinna być zasada wzajemnego szacunku. Nawet w trudnych i konfliktowych sytuacjach klub nie będzie tolerował przekraczania normalnie obowiązujących granic. Legia będzie dalej wnikliwie analizowała wszystkie fakty związane z incydentem i na podstawie wyciągniętych wniosków podejmie wszelkie możliwe działania, aby zapewnić zawodnikom i wszystkim pracownikom klubu pełne bezpieczeństwo.”

I to tyle. Żadnych zawiadomień na policję, zakazów stadionowych, prób realnego rozwiązania problemu.

Jaki może być tego efekt? Tylko większe poczucie siły i władzy u kiboli. To oni realnie rządzą w Legii. Nie Mioduski, nie jakiś tam zarząd, rada nadzorcza czy inne organy formalnie

istotne z punktu widzenia przepisów prawa. Rządzi mała grupka ludzi, dla której jedyny argument to argument siły.

Lata przymilania się do tych osób spowodowały, że dziś Legia jest ich zakładnikiem. Wypowiedzenie kibolom otwartej wojny? Ryzyko dużych strat finansowych. Tacy ludzie prawie zawsze są na meczu, kupują koszulki, jedzenie. Wydatnie wspierają budżet klubu. Ponadto piłka nożna jest dla kibiców, na pustym stadionie na dłuższą metę nie da się grać. Z drugiej strony dalsze tolerowanie takich zachowań, jak te, które miały miejsce z niedzieli na poniedziałek, również finansowo może odbić się Legii czkawką.

Raz, że sterroryzowani piłkarze wcale nie muszą grać w najbliższych spotkaniach lepiej. Ba, istnieje spore prawdopodobieństwo nawet, że mogą zagrać jeszcze gorzej. Tym bardziej, że usłyszeli tamtej nocy, że jeśli w najbliższym meczu z Lechią Gdańsk u siebie również zawiodą, to powinni się spodziewać ponownej „rozmowy wychowawczej”. Przestraszeni zawodnicy mogą zaraz przegrać nie tylko awans do Ligi Mistrzów, Ligi Europy, ale i Puchar Polsk oraz ostatecznie szansę na mistrzostwo Polski.

Dwa, że piłkarze to nie tylko jak na polskie warunki bardzo dobrze opłacani ludzie, ale to także pracownicy. Którzy, nawet jeśli obecnie nie wykonują swoich obowiązków najlepiej, przegrywają spotkanie za spotkaniem, to jednak wiążą ich umowy z Legią. Z Legią, która jako ich pracodawca ewidentnie nie potrafi/nie chce (niepotrzebne skreślić) zapewnić im bezpieczeństwa. Rozwiązanie kontraktów z winy klubu? Jeśli sytuacja po meczu z Lechią się powtórzy, wydaje się to całkiem prawdopodobne.

Nawet bowiem największe pieniądze nie wynagrodzą tego, co mogą dziś czuć piłkarze Legii. Tym bardziej, że wielu z nich to obcokrajowcy, którzy mogą uznać, że na cholerę im taka praca, zabrać manatki i wyjechać by szukać pracy w innym klubie. Bezpieczniejszym. A nie w takim, który najpierw dopuszcza do

sytuacji jak ta z niedzieli na poniedziałek, a potem w oficjalnym oświadczeniu pomniejsza znaczenie wydarzenia, praktycznie nie reaguje.

Nawet jeśli obecni piłkarze z Legii nie odejdą, to pytanie który dobry zdrowo myślący zawodnik będzie chciał przyjść od dziś na Łazienkowską? Mając obawę, że jego gorsza gra może zaowocować naruszeniem przez kibiców jego nietykalności cielesnej? To jest tragedia Legii tak wielka, że ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. I tu żadne wielkie budżety, milionowe kontrakty sponsorskie nie pomogą.

Legia Warszawa jest w największym dołku od lat. Sportowym i poza sportowym. Drużyna zajmuje miejsce w środku tabeli, odpadła ze wszelkich europejskich pucharów, w składzie praktycznie nie ma gwiazd, bo te wyprzedano w ostatnich oknach transferowych. Do tego doszedł teraz kolejny rozdział kłopotów z kibicami, którzy mają prawo być źli, zawiedzeni, wyszydzać piłkarzy, kpić z nich, ale nie mają prawa ich bić. Ci, którzy liczyli na Dariusza Mioduskiego – mogą czuć się zawiedzeni. Nadzieja, którą dawał swoją osobą, iż doprowadzi do sensownego rozwiązania „kibicowskiego problemu”, na naszych oczach właśnie gaśnie. Jeśli właściciel klubu nie poczyni odważnych kroków, to kto je uczyni? PZPN? Ekstraklasa? Dopóki w polskiej piłce nie znajdą się ludzie gotowi postawić się boiskowym zadymiarzom, dopóty takie historie jak ta ostatnia z udziałem piłkarzy Legii i jej „kibiców” wciąż będą miały miejsce. Ze szkodą dla futbolu tak wielką, że aż niewymierzalną.

Autorstwo: Michał Olender

Źródło: MediumPubliczne.pl